

Autor: Radosław Marciniak

Opublikowane w: Gazeta Horyniecka nr 17, 23 grudnia 2008

Nocne galopady

Pierwsze próby

Zawsze kusiło mnie, aby sprawdzić jak koń będzie się zachowywał nocą pod siodłem i ze mną na grzbiecie. Pokusa nie od razu była wystarczająco silna. Musiałem pokonać delikatny lęk o moją zdolność do panowania nad koniem w trudnych warunkach ograniczonej widoczności i wszelkich czających się dookoła duchów i strachów. Wszak las nocą jest straszny dla konia. A dla jeźdźca?

Zanim jednak zdecydowałem się na taką samotną eskapadę na Polance, po raz pierwszy przećwiczyłem to w Lublinie i okolicach. Nie jest to miejsce, aby szczegółowo opisywać te próby, ale wspomnieć o tym mi wypada. Było to przy okazji zakładowego kuligu. Trening w okolicach Lublina na ośnieżonych drogach i z pochodniami miał w sobie coś z surrealistycznego widowiska. Cztery konie z jeźdźcami trzymającymi zapalone pochodnie podążają polną drogą, w pewnym momencie jeźdźcy odrzucają pochodnie i dwa konie ruszają w ciemności ostrym galopem. Spod okutych kopyt błyskają iskry krzesane o leżące pod śniegiem kamienie. Galop zaś odbywa się w stronę oświetlonych i roztaczających łunę światła bloków mieszkalnych.

Właściwy nocny galop, w tym samym zespole koni i ludzi, odbył się kilka dni później w lasach nad jeziorem Firlej. W ramach wyścigu z ciągnikiem, galopując przez las, zostałem na gałęzi jakiegoś drzewa. Długo tam nie wisałem. Szybko wylądowałem tuż przed kołami nadjeżdżającego traktora. Niewątpliwie rozsądne to nie było, ale faktem jest, że pierwszy raz w życiu i jak dotąd jedyny, wskoczyłem z miejsca na grzbiet osiodłanego konia i to mającego sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu w kłębie. Co też ta adrenalina może z człowiekiem uczynić.

Jednak po tych przeżyciach z jednej strony wiedziałem, że z koniem – a szczególnie z Bumerem – poradzę sobie nawet w nocy, a z drugiej kołatały się gdzieś w głowie resztki rozsądku mówiące „spasuj, nie szalej, w lesie jest dużo gałęzi, na których Bumer może Cię zostawić”. Mój duch walki jednak zwyciężył i dalsze próby galopów z duchami podjąłem na Polance.

Samotnie w strasznym lesie

Pierwszy taki wyjazd przedsięwziąłem w majowe święto naszej konstytucji 2004 roku. Około dwudziestej trzydziści, a więc już po zachodzie słońca, osiodlałem Bumera. Po wyjściu ze stajni koń był lekko zaniepokojony. Mroki nocy rozświetlała żarówka nad stajnią, ale Bumer kręcił się i próbował uciekać przy wsiadaniu. Wyraźnie miał niezbyt dobre zdanie o wychodzeniu nocą ze stajni i do tego z siodłem na grzbiecie. Ewa zęgnęła mnie, jakbym co najmniej wyruszał w podróż dookoła świata, w łupince nie mającej żadnych szans na oceanie nocy. Po drodze czekały mnie dodatkowe niespodzianki. Jeszcze nie dojechałem do ogrodzenia otaczającego polanę Polanki, a już rozpętała się solidna burza z piorunami, ulewą i gradem. Sama rozkosz szczególnie, że nie wziąłem żadnego okrycia przeciwdeszczowego. Bumer skulił się, a właściwie, pod uderzeniami kulek gradu, podwinął ogon i zad niczym rasowy owczarek. Natomiast na grzmoty nie reagował. Ja też skuliłem się próbując w całości zmieścić się pod kaskiem, o który łomotały ziarna gradu. Nie za bardzo mi się to udało i mokłem dalej. Że też kupiłem taki mały kask! Wkroczyliśmy do lasu i ogarnęła nas ciemność. Liczyłem na księżyc, który powinien być niemal w pełni. I pewnie był, ale za chmurami.

Na kasku mam latarkę czołową. Wolę jej nie używać, bo zakłóca eksperyment. Poza tym odwrócenie głowy oślepi konia, pozbawiając go oświetlenia drogi do mógłby się przyzwyczaić. Zresztą głowa kręciła mi się non-stop i na okrągło w ramach poszukiwania leśnych duchów i zjaw. Idziemy Highwayem do pierwszego dużego zjazdu w lewo. Mimo ciemności i strug deszczu prosta piaszczysta droga jest bardzo dobrze widoczna. Ulewa się kończy nim dochodzimy do zakrętu. Jestem przemoczony do ostatniej nitki. Noc jest jednak ciepła, więc przeziębienie mi nie grozi. O konia też nie muszę się martwić. Pracujące mięśnie Bumera wydzielają tyle ciepła, że natychmiast zaczyna parować i spowija nas lekka mgiełka unosząca się znad jego zadu. Tak naprawdę w najgorszej sytuacji jest siodło, po tej podróży będzie schło kilka dni.

Skręcamy i wychodzi księżyc. Całe szczęście, bo ta droga jest nieco węższa i ciemniejsza. Wybrałem dobrze sobie znaną trasę i określiłem też miejsca do galopu, bo przecież eksperyment nie byłby pełny gdybym nie spróbował galopu w ciemności. Teraz jednak ruszamy kłusem, który przerywamy na chwilę wjeżdżając na rozrzucone betonowe kostki przy wjeździe do młodnika. W młodniku ponownie muszę zwolnić, gdy nisko wiszące gałęzie kilkakrotnie i nieprzyjemnie mnie policzkują. Mimo to szybko wkraczamy do jeszcze ciemniejszej części lasu. Tutaj drzewa są wyższe, a ich korony zamykające się nad nami tworzą rodzaj dachu mocno ograniczającego światło księżyca. Mam wrażenie, że ślepnę, ale to tylko zmienia się kolor podłoża drogi z jasnego, piaszczystego na ciemny, ziemisty. Droga znika mi z oczu. Kieruję się wycuciem, pamięcią i obserwuję drzewa wybierając większe odstępy pomiędzy nimi. Jak na złość wszystkie drzewa, a raczej ich nocne cienie, są podobne do siebie. W końcu nie wytrzymuję i włączam światło. Bumer zaskoczony gwałtownie drgnął, ale nie próbował ucieczki. Gaszę latarkę i włączam ją jeszcze raz. Koń nie reaguje, a więc przyzwyczaił się. Kochane konisko niczego się nie boi (nawet mnie), pewnie wchodzi w kałuże, nie potyka się i w ogóle chętnie maszeruje. Zdaje się, że to ja czuję się bardziej nieswojo w tym ciemnym lesie. Wyjeżdżając na piaszczystą drogę znowu przyspieszamy do kłusa, a potem do wolnego galopu. Tempo około czterystu pięćdziesięciu. Pokonujemy zakręt w lewo, kawałek piaszczystej drogi pod górę, znowu w lewo i od razu w prawo. Znowu zagłębiamy się w las. Przez chwilę galopujemy w ciemnościach, ale gdy Bumer się potyka „grzecznie proszę go” o przejście do kłusa, a potem do stępa. Posuwamy się wolno i ostrożnie. Spod ziemi wystaje tu sporo korzeni, droga jest nierówna, nie ma więc mowy o przyspieszaniu. Nie ma też potrzeby. W dzień tę trasę pokonywałem w ciągu godziny, na nocną eskapadę przeznaczyłem godzinę i piętnaście minut. Oznacza to, że gdyby nie było mnie o dziesiątej piętnaście w stajni, to polankowa społeczność powinna urządzić nocną, leśną obławę w poszukiwaniu gniadego wałacha i jego, zapewne wówczas godnego pożałowania, pana.

Wychodzimy z lasu, skręcamy w lewo. Zatrzymuję konia, spoglądam na łąki i pola zalane księżycową poświatą. Widok jest przepiękny. Sprawdzam też widoczność drogi. Wszystko wydaje się w porządku, droga do małego wąwozu jest ledwie widoczna, ale widoczna. Dalej, za wąwozem też jest mi znana, to znaczy mam ją w pamięci. Szczegółowy plan przewiduje tu solidny galop aż do słupów. Jeszcze przez chwilę delektujemy się widokiem, Bumer stoi jak posąg. Nawet głową nie rusza. Jedyne uszy zataczają półokręgi. Delikatną półparadą daję mu znak. Nieco skracam wodze i przykładam łydki, z miejsca przechodzi do niespiesznego galopu. Tempo czterysta pięćdziesiąt utrzymuję do zakrętu. Skręcamy w prawo na prostą i spokojnie przyspieszamy. Pięćset, pięćset pięćdziesiąt, sześćset. Szaleństwo jest wystarczające. Bumer galopuje bardzo pewnie. Mam wrażenie, że mógłby jeszcze szybciej, ale rozsądek nakazuje nie zwiększać tempa. Powinienem mieć chociaż wrażenie, że w razie potknięcia konia zdołam utrzymać się w siodle lub odchylić do tyłu i odpaść na zewnątrz w razie wywrotki. To powinno zapobiec dostaniu się pod kopyta lub ciało padającego konia. To taka teoria dla poprawy samopoczucia! Pędzimy. Uważnie

obserwuję drogę starając się prowadzić Bumera jasną koleiną, na której prawie widać nierówności i kałuże. Rozbryzg z jednej z nich zalewa mi twarz. To bez znaczenia i tak byłem cały mokry po deszczowej kąpieli. Galopujemy dalej lekko w prawo, lekko w lewo i wjeżdżamy do wąwozu. Kopyta wystukują rytm na twardszej kamienistej nawierzchni i już jesteśmy na wzgórku za wąwozem. W poświacie księżycy widać jaśniejące na tle ciemnej ściany lasu słupy. Siadam w siodło, zwalniam i przechodzimy do kłusa. Skręcamy w lewo i dalej stępujemy.

Próbuję odnaleźć drogę do strumyków wiodącą obok cmentarza. Pierwsza próba nieudana. Nie zauważam krzyża na postumencie i nie widzę drogi. Drugie podejście udane, tyle że z drobnym oszustwem czyli włączoną latarką. Zagłębiając się w las powolnym stępem, uważając na gałęzie i wijącą się, prawie niewidoczną drogę. Mijam cmentarz. Koń stąpa cichutko. Robi się ciasno od drzew. Nic dziwnego, to w końcu las. „No tak, ale miała być droga przez las, a nie sam las, więc dlaczego jest sam las?” Pytam sam siebie i na wszelki wypadek na głos. Odpowiedź jest prosta ... zgubiliśmy drogę. Zapalam latarkę. Zawracam i po kilku krokach odnajduję szlak.

Schodzimy nieco bardziej stromym stokiem i wydostajemy się na zieloną drogę wzdłuż strumyka. Otula nas mgła. Wszystko paruje. Ja, koń, a najbardziej wilgotna ziemia otaczająca strumień. Kapiemy się w „mleku”. Trawa i mgła tłumią stąpanie konia. Idziemy w całkowitej ciszy. Bumer jest jakiś skurczony. Rusza się powoli, jakby w zwolnionym tempie, nerwowo się rozgląda, ale uszy pracują szybko – przód, bok, tył i z powrotem. Jakbym miał takie uszy pewnie tak samo by mi teraz pracowały. Zapalenie latarki nic nie daje. Światło odbija się od mgły i widzę jeszcze mniejsze nic. Co kilkadziesiąt kroków zatrzymuję Bumera. Stoi wówczas posągowo – całkowicie nieruchomo, obaj nasłuchujemy. Wrażenie jest niesamowite. Czuję się jak człowiek pierwotny pozbawiony wsparcia cywilizacji. Mieliśmy tą trasą galopować, ale mgła pokrzyżowała plany. Nie mam odwagi nawet na kłusa. W ciszy, niemal bez chlupotu wody przekraczamy strumyk.

Droga prowadzi lekko w górę i mgła ustępuje. Wjeżdżamy do wąwozu. Nad nami, po prawej stronie widać parę zielonych ślepi. Żadnej sylwetki, nawet jej zarysu, tylko para nieruchomych, zielonych i milczących ślepi. Bumer nie reaguje, więc to chyba żaden tygrys, ani lew – tzn. wilk. Ślepie nie uciekają, stoją i patrzą zaciekawione, a więc zapewne nie jest to stworzenie trawożerne. Może więc lis. Oddalamy się, przybliżając się jednocześnie do stajni. Właściwie to od niej też się oddalamy, bo została po lewej ręce, ale przejście lasem byłoby bardzo niewygodne. Podążamy dalej kłusując drogą. Minuty wloką się powoli, ale oto już droga na betony, skręcamy w lewo. W ciągu kilku minut docieramy do stajni. Zdejmuję ogłowie i mokre siodło. Ja też jestem mokry, za to Bumer jest suchy i wyraźnie zadowolony, nie wiem tylko czy z przejażdżki, czy z tego, że się właśnie skończyła.

Szarża na myśliwych

Nie było tak strasznie. Co roku i na różnych koniach powtarzam takie nocne podróże z dreszczykiem wiosną, latem i zimą. Większość odbywała się bez przygód, nawet jeśli Brabant – ogier zachowywał się w lesie bardziej nerwowo niż Bumer.

O jednej takiej eskapadzie warto jednak wspomnieć, bowiem mogła zakończyć się rozstrzelaniem nas, albo co najmniej zderzeniem z samochodem. Zdarzyło się to w maju, konkretnie czwartego maja 2006 roku. Na nocną wyprawę umówiliśmy się z Łukaszem, przecież we dwóch będzie raźniej, ciekawiej i nawet bezpieczniej. Przed południem, jadąc na innym koniu sprawdziłem drogę. Chociaż i tak znałem ją na pamięć, no ale gdzieś coś mogło się zmienić. Po prostu upewniałem się, że nikt nie wykopał wilczych dołów na naszej trasie. A jednak niespodzianka, i to duża, była. Ja miałem dosiąść Bumera, a Łukasz Joke'a.

Darek – zarządzający wówczas Polanką – żegnając nas mówi: „tylko uważajcie, w lesie są myśliwi, nie zjeżdżajcie z głównych dróg”. Sporo po dwudziestej wyjechaliśmy.

Highwayem stępa, aż do pierwszego zjazdu w lewo. Dalej klusem i w prawo drogą wzdłuż wyrębu. Tutaj księżyc świeci jasno, ale przechodzimy z klusa do stępa zmuszeni wystającymi korzeniami, o które konie często się potykają. Mijamy skrzyżowanie leśnych dróg i dopiero na następnej krzyżówce zakrećamy w stronę Highwayu. Chwila stępa i przechodzimy do galopu. Zjeżdżamy z Highwayu, tym razem drugim zjazdem, i dalej galopujemy. Pod drzewami ciemno, nie włączamy jednak laterek, gdyż piaszczysta droga jest dobrze widoczna. Jadę pierwszy. Konie w ciemności nie próbują się ścigać. Spokojnie galopujemy tempem około pięćset. Skrećamy w lewo na pokonywaną niedawno drogę wzdłuż wyrębu i z powodu wystających korzeni przechodzimy do stępa. Noga za nogą wlecemy się różnymi leśnymi drogami, przechodząc czasami do klusa. Trafiamy do drogi wychodzącej z lasu na łąki i pola, a prowadzącej do słupów. Wzdłuż ściany lasu ruszamy szybszym galopem. Tempo pięćset. Słyszę też tętent kopyt Joke'a, jest tuż za mną. Zakrećamy w kierunku słupów. Łukasz niemal zrównuje się ze mną, przyspieszamy do sześciuset, zaraz spróbujemy się ścigać. Szaleństwo, mimo lekkiej poświaty księżyca przebijającej się przez chmury, tak naprawdę nic nie widać. Pokonujemy kilkadziesiąt metrów i oniemiał z wrażenia, jak w zwolnionym tempie próbujemy zatrzymać konie. Zwalniają, ale bardziej samoczynnie niż w reakcji na nasze pomoce i jakby niechętnie, że ktoś im przerywa tak piękny galop. Tak samo jak my są zaskoczone krótkim błyskiem czterech ostro świecących „oczku”, tak jak my nie wiemy, co to jest. Przechodzimy do klusa i stępa zbliżając się do ... stojącego na środku polnej drogi samochodu – Volkswagen Pasat kombi. W poświacie dostrzegamy sylwetki dwóch mężczyzn z bronią stojących przy samochodzie – myśliwi. Mieli być w lesie, a nie na drodze – wszak tak mówił Darek. Rzucam pytanie, „czy dalej na drodze grożą nam podobne niespodzianki?”. Odpowiedź nie daje stu procentowej pewności – „nie, raczej nie”. Mijamy samochód i ruszamy galopem. Straciliśmy jednak ochotę do ścigania się. Czujemy się jakoś nieswojo. Tak naprawdę, gdyby nie przytomność umysłu myśliwych, wpadlibyśmy pełnym galopem na samochód. Być może konie w ostatniej chwili dostrzegłyby przeszkodę i uskoczyły, ale to doprowadziłoby do twardego lądowania jeźdźców na masce i przedniej szybie samochodu. Dojeżdżamy do słupów, zwalniamy do klusa i dalej do stępa. Spokojnie schodzimy koło cmentarza nad strumyk używając laterek. Trochę klusem, trochę stępa już bez światła docieramy do stajni. Żadnych dalszych myśliwych po drodze, wróciliśmy nie upolowani – całe szczęście!

Mimo takiej przygody nocne wycieczki nadal kuszą, więc w następnym roku także wyruszam na nocną eskapadę, lekko tajemniczą, lekko niepokojącą czyli taką jak zwykle, tylko trasa była inna. Dróg w leśnych ostępach otaczających Polankę przecież jest mnóstwo, a więc nie raz będzie jeszcze okazja także do nocnych galopad, galopad z duchami.

Radosław Marciniak